

DODO KNITTER

wszędzie w domu,

ALE DOBRZE NAJLEPIEJ



WSZĘDZIE W DOMU, ALE DOBRZE NAJLEPIEJ

AUTORKA: DODO KNITTER
WYDAWNICTWO: JĘZYKOWA SIŁKA

Copyright © 2020 by Dominika Knitter, wszelkie prawa zastrzeżone

Wydanie I,
Warszawa 2020

Treść: Dodo Knitter
Projekt okładki: Dodo Knitter
Ilustracje: Dodo Knitter

Opracowanie redakcyjne: Manufaktura Tekstu Monika Kardasz
Skład: Wydawnictwo Językowa Siłka
Korekta: Wydawnictwo Językowa Siłka
Wyłączna dystrybucja: <https://jezykowysklep.pl>

Copyright © Wydanie I, Językowa Siłka Patryk Topoliński,
Warszawa 2020, wszelkie prawa zastrzeżone

<https://jezykowasilka.pl>

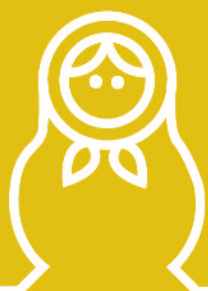


INFORMACJA DOTYCZĄCA PRAW AUTORSKICH

Właścicielem autorskich praw majątkowych do niniejszego utworu jest Autor - Dominika Knitter. Właścicielem praw wydawniczych oraz wyłącznej licencji na wydanie i dystrybucję utworu jest Wydawca: firma Językowa Siłka Patryk Topoliński, NIP 5342589926.

Niniejszy plik to darmowy fragment książki "Wszędzie w domu, ale dobrze najlepiej". Można z niego korzystać na niniejszej stronie internetowej lub pobrać na dysk na własny użytek.

Zabrania się odsprzedawania darmowego fragmentu oraz rozpowszechniania utworu bez zgody wydawcy w internecie oraz osobom trzecim. Wyjątek stanowi sytuacja, kiedy Czytelnik pragnie opublikować zrzut ekranu z darmowego fragmentu eBooka w swoich mediach społecznościowych lub chce wykorzystać drobny fragment na prawach cytatu. W wypadku chęci opublikowania szerszego fragmentu treści, konieczny jest kontakt z Wydawnictwem.



NA PRZEKÓR



W niniejszym oraz kolejnych rozdziałach, znajdują się fragmenty wypowiedzi w języku rosyjskim. Wszystkie te fragmenty zostały oznaczone kursywą i są zapisane zgodnie z tym, co usłyszała autorka. Zapis został stworzony przez autorkę na podstawie doświadczeń z podróży oraz notatek z pamiętnika. Nie jest to poprawny, słownikowy zapis fonetyczny, a co za tym idzie mogą w nim występować różnego rodzaju błędy (np. składniowe).

NA PRZEKÓR

Byłyśmy na zachodzie, na południu i na północy Europy. Logiczne było, że powinniśmy myśleć o wschodzie, ale gdy tylko ktoś pytał nas o Rosję, reagowałyśmy śmiechem. Ten pomysł wydawał nam się tak szalony, że aż nieosiągalny i śmieszny. „Wszystko, tylko nie Rosja!” – odpowiadałyśmy chórem.

Do czasu. Wieloma spośród naszych życiowych wyborów kierują impulsy. Impuls zadecydował o mojej nagłej rezygnacji z matury z biologii, podobny impuls sprawił, że poszłam na studia na Akademię Sztuk Pięknych. Ten impuls zaskoczył mnie 31 grudnia 2015 roku. Jadłam obiad z mamą i czekałam na przyjaciół, którzy mieli po mnie przyjechać i zabrać na imprezę do Gdańska. Na obiad była zupa, tyle pamiętam. Siedziałyśmy naprzeciw siebie, ale jadłam tylko ja – w pośpiechu, bo jak zwykle nie spakowałam się na czas. I gdy kolejna łyżka trafiała do mojej buzi, dotarło do mnie, że Rosja to wspaniały pomysł. Nie zdążyłam tego pomysłu przetrwać (nie mówiąc o zupie), kiedy powiedziałam na głos:

– Mamo, jadę do Rosji.



Nie mam w zwyczaju mówić, że chciałabym coś zrobić. Jeśli mam na coś ochotę, mówię o tym tak, jakby realizacja była błahostką. Bez zbędnego zastanawiania się i analizowania. Jadę do Rosji. Po prostu. Dłoń mamy opadła na stół. Była w szoku – z resztą nie większym niż ja. Nie czekając na jej opinię, wystukałam w telefonie numer przyjaciółki.

- Magda? Mam pomysł. Zgadzasz się?
- Ale jaki pomysł?
- Nieważne jaki. Zgadzasz się? – Nie miałam czasu na wyjaśnienia, a tym bardziej na wątpliwości.
- Będzie śmiesznie?
- Nawet sobie nie wyobrażasz. – Tego byłam pewna.
- No dobra, zgadzam się.
- Jedziemy do Rosji!
- Ale fajnie! Sprawdź, jak załatwić wizy. Zaraz się widzimy.

Odłożyłam telefon, odstawiłam supę i z szerokim uśmiechem odeszłam od stołu, dumna ze swojego dzikiego nieplanu. Nie sprawdziłam, jak załatwić wizę. Tego dnia w głowie miałam tylko znajomych, imprezę i decyzję, jaki alkohol będę spożywać.

Ściśnięci w jednym aucie pojechaliśmy do Gdańska, gdzie wtedy mieszkałam. Impreza się udała, ale alkohol rozwiązał mi język i wszystkim znajomym naopowiadałam, że rok 2016 minie pod znakiem wyprawy do Rosji i pojedziemy autostopem nad Bajkał. Pod wpływem alkoholu każdemu mówiłyśmy o tym jak o pewniku.



Niepewność przyszła razem z kacem, gdy kolejnego poranka sprawdziliśmy ceny wiz i zaczęliśmy analizować odległości w Rosji. Miałyśmy pokonać szesnaście tysięcy kilometrów i pierwszy raz w życiu załatwić wizy, które kosztowały wtedy ponad pięćset złotych od osoby. Do tej pory pięćset złotych wystarczało nam na całe podróżnicze wakacje i ta kwota wydawała się niebotycznie duża i nieosiągalna. Do tego odległość. Szesnaście tysięcy kilometrów, podczas gdy my miałyśmy tylko miesiąc. Jednak powiedziałam A i musiałam powziąć kroki, by powiedzieć B.

Obie studiowałyśmy. Ja byłam na pierwszym roku wzornictwa na Akademii Sztuk Pięknych, a Magda na drugim roku biotechnologii na Politechnice Gdańskiej. Wynajmowałyśmy malutki pokój we Wrzeszczu. Odległość między naszymi łózkami wynosiła pół metra. Poza łózkami z gąbki i płyty – w połowie twardymi, a w połowie miękkimi – miałyśmy jedno biurko, dużą szafę, regał i ukradziony na ulicy wielki plakat jakiegoś polityka. Na uczelni spędzałam całe dni – zajęcia zaczynałam o dziewiątej rano, a kończyłam o dwunastej, co nie oznaczało, że o tej godzinie opuszczałam mury Zbrojowni. Bywały dni, kiedy docierałam do mieszkania o drugiej w nocy. Jadłam byle co, robiłam projekty, żeby następnego dnia o siódmej rano wyjść na tramwaj i robić kolejne korekty swoich nocnych szkiców. Nie było mowy, bym podjęła się jakiegokolwiek pracy. Ledwo znajdowałam czas, by spotykać się ze swoim chłopakiem, który czasem, żeby mnie zobaczyć, przychodził na wykłady, a nawet na moje egzaminy z geometrii wykreślnej. Magda też nie miała lekko – ambicje trzymały ją uwięzioną na



niewygodnym łóżku wśród kilogramów notatek. Imponowała mi jej miłość do nauki.

Od rodziców dostawałyśmy „kieszonkowe”, czyli pieniądze na przeżycie. Duma nie pozwalała mi przyznać, że tych pieniędzy nie wystarcza, bo miesięcznie połowę wydawałam na materiały do projektów, a Castorama stała się moim trzecim domem. W jednym z najcięższych dla mnie miesięcy miałam dwadzieścia złotych na dwa tygodnie życia. Jadłam ryż z cukrem, który podbierałam współlokatorom. Wtedy zatrudniłam się w szkole rysunku, do której wcześniej uczęszczałam – zostałam modelką. W weekendy dziewięć godzin spędzałam w bezruchu, słuchając nagranych wcześniej notatek z historii sztuki i licząc, ile cienkopisów kupię za zarobione pieniądze. Podczas jednego z takich seansów zemdlałam i upadłam na podłogę. W takich warunkach przyszło nam odkładać na rosyjski wyjazd, ale też na moje pierwsze Camino de Santiago. Było ciężko, ale nie na tyle, by nasze plany stały się niemożliwe do realizacji.

Szukałyśmy sposobów i nie załamywałyśmy się. Magda spędzała nocki na wykładaniu towaru w supermarketach, ja pozowałam w każdej wolnej chwili, a na wykładach rysowałam portrety albo wzory tatuaży, które potem sprzedawałam. Robiłam notatki z historii sztuki i geometrii tak porządnie, jak tylko potrafiłam, żeby potem sprzedać je przed egzaminami bardziej leniwym studentom. Z dnia na dzień lepiej radziłam sobie z budżetem, a krokiem do normalności był zakup świeżego ogórka. Tak mnie ucieszył fakt, że posiadam świeże warzywo, że nie zauważyłam swojej pomyłki. Gdy go rano przekroiłam, z oczu poleciały mi słone łzy – okazało się, że to cukinia. Jednak od tego momentu było już tylko lepiej.



Spontanicznie założyłyśmy swoją „firmę” z koszulkami, która została zamknięta, gdy tylko odnotowałyśmy pierwszy zysk.

Jednym z naszych głównych sposobów na poprawę funduszy był słoik kar. Ustaliłyśmy zasady mieszkania we wspólnym pokoju i nawet się do nich dostosowywałyśmy – gdy już przywykłyśmy, bo początki były trudne. Bunt oznaczał karę pieniężną. Za każde przekleństwo płaciłyśmy złotówkę. Za kłótnię dwadzieścia złotych. Każdy brudny kubek pozostawiony w pokoju kosztował piąta. Gdy zostawiłam na podłodze gwoździe lub nożyczki, wrzucałam do słoika dziesięć złotych, za to Magda taką kwotę musiała uiścić, kiedy w złości narzekała na swoją uczelnię. Po pięciu miesiącach w skarbonce miałyśmy dość pieniędzy, by opłacić jedną wizę.

W lipcu byłyśmy właściwie gotowe do drogi. Dzień przed wyjazdem spontanicznie pojechałam do Bydgoszczy. Czego nie robi się z miłości? Do domu wróciłam autostopem o trzeciej w nocy. Musiałam się spakować, umyć, przygotować prowiant na trasę i wyspać. Nie udało mi się przede wszystkim to ostatnie, bo oddałam się w objęcia Morfeusza już w pierwszym aucie, które z Brus wiozło nas do Chojnic. Wkrótce okazało się, że pakowanie też nie poszło mi najlepiej – na miesiąc na Syberii zabrałam tylko jedną parę spodni, na dodatek jeansów. Magda nie była dużo lepsza, miała załatwić papierową mapę, a ta, którą kupiła, kończyła się na linii Moskwy. A mapa Polski? Zamiast zabrać północny wschód z atlasu drogowego wyrwała południowy zachód. Tak pięknie przygotowane ruszyłyśmy w kierunku Rosji.



“
Drogi pamiętniczku, start mamy ciężki.
Nie mamy wyboru, musimy kierować się do Rosji
po zapachu spirytusu.
”

Długo marzyłam o tym, żeby zatrzymać pierwsze rosyjskie auto i wypowiedzieć kilka zdań po rosyjsku. W trakcie zajęć z projektowania uczyłam się tego języka i alfabetu, więc co nieco potrafiłam. Tak mi się przynajmniej wydawało, bo przecież rosyjski jest niemal identyczny jak język polski. Na dodatek obejrzałam dużo rosyjskich filmów, słuchałam muzyki. Czułam się, jakby ta mowa płynęła w mojej krwi.

I stało się. Już na granicy polsko-litewskiej zatrzymała się ciężarówka na rosyjskich tablicach. Ciężarówki są tak długie, że na długości ich naczep biją rekordy prędkości. Biegłyśmy z plecakami co sił, by wreszcie złapać za klamkę i powiedzieć:

- *My iz Polszyi! Awtostopam na Bajkal. Kuda ty idesz?*
- *Wy nasze?*
- *Niet! My iz Polszyi, dwie Polki! Jedem w Irkuck!*



Zamaszystym gestem zaprosił nas do środka. Twarz mi zastygła w dzikim uśmiechu. I wtedy kolega kierowcy postanowił do nas zagadać. Mówił szybko i energicznie. Wymachiwał przy tym rękami. Z jego ust leciało słowo za słowem, a ja nie rozumiałam żadnego z nich.

– *Szto ty gawarisz?*

Powtórzył. Użyłam stuprocentowej mocy swojego mózgu, żeby się skupić i wyłapać chociaż pojedyncze słowa. Bez skutku. Wszystko było tylko ładnie, melodyjnie brzmiącym bełkotem.

– *Szto? Nie panimaju...*

Mężczyzna westchnął i bardzo dosadnie powiedział coś, czego nigdy nie zapomnę:

– *Dziewczonki, wy tam umrecie. Nikto ne gowarit pa ingliski w Sibiri...*

Ignorowałyśmy ostrzeżenia znajomych, że prędzej niż niedźwiedzie zjedzą nas Rosjanie. Nie słuchałyśmy rodziców, gdy na urodziny życzyli mi znalezienia mężczyzny, który odwiedzie nas od tego pomysłu. Właściwie przez pół roku wciskano nam do głów same tragiczne historie o gwałtach, mafii, porwaniach. Te ostrzeżenia były tak makabryczne, że nie planowałyśmy, co będziemy robić po powrocie – znajomi napędzili nam takiego stracha, że same wątpiłyśmy, czy wrócimy stamtąd całe i zdrowe. Ale nie powstrzymało nas to.

Jednak tym razem ostrzegał nas Rosjanin z krwi i kości. I to już nas zmartwiło. Wróciły początkowe wątpliwości. Może ma rację i wyjazd na Syberię to strzał w kolano?



To właśnie ci mężczyźni przez CB-radio pokłócili się z innym rosyjskim kierowcą, którego na skrzyżowaniu zmusili do zabrania nas na granicę łotewsko-rosyjską. Ten drugi wjechał ciężarówką na czyjeś podwórko i nielegalnie zatankował pojazd. Chwilę po naszym przyjeździe z dziury w murze wyłonił się duży wąż paliwowy. Wschodni klimat był już wyraźnie wyczuwalny. W nocy dojechaliśmy na granicę i rozbiłyśmy nowy pomarańczowy namiot na pobliskiej polanie. Pierwszy dzień ważności naszej wizy przypadał na następny poranek.

To był dla nas duży stres. Pierwszy raz miałyśmy wjechać do kraju, do którego potrzebowałyśmy wiz. Nie wiedziałyśmy, czego się spodziewać przy kontroli. Sznurek samochodów ciągnął się w nieskończoność, a w tym wszystkim byłyśmy my – dwie blondynki z plecakami, podróżujące pieszo. Oczy wszystkich były na nas skupione. Zgrabnie przeskakiwałyśmy od bramki do bramki, a na każdej z nich zatrzymywano nas na chwilę dłużej. Wreszcie dotarłyśmy do tej najważniejszej, gdzie kazano nam wypełnić kartę migracyjną. W okienku siedziała baba, bo trudno nazwać ją inaczej. Dwieście kilo żywej wagi, ciemny wąs nad cienką wargą, włosy obcięte na zapalkę i mina wściekłego mopsa. Rzuciła w moją stronę rosyjską wiązaną, której nie sposób było zrozumieć.

– *Ja iz Polszyi. Ja ne oczjeń haraszo gawarju pa ruski* – powiedziałam.

Zmierzyła mnie wzrokiem. Góra, dół, góra, dół. Jej usta wygięły się w jeszcze pokaźniejszy półksiężyc, oczy się zadumały i ponownie otworzyła usta, tym razem pokazując braki w uzębieniu.



– *Kak ty niet gawarisz, kak gawarisz.*

Po czym wróciła do zadawania nam dziesiątek pytań, nie bacząc na to, że odpowiadamy jednym słowem lub kiwaniem głowy, bo nie byliśmy pewne, czy dobrze zrozumiwałyśmy. Okazało się, że panie przy kolejnych okienkach były podobnie nastawione do życia i do nas. I żadna nie mogła zrozumieć, jakim cudem umiemy powiedzieć tylko jedno zdanie po rosyjsku i to na dodatek przeczące temu, jakobyśmy ten język znały.

Przy ostatniej bramce czekała nas kontrola bagażu. *Babuszka* wyszła ze swojej budki i wzrokiem oceniła nasze identyczne z zewnątrz plecaki.

– *Szto tam?* – zapytała twardo i oschle. Tym razem odpowiedziała Magda, pokazując swój językowy kunszt w pełni.

– *Syr. Chjeb. Kosmetiki. Ciuuuuchi. Djengi. Kamjera. Japarat. Buti...* – wymieniała zawzięcie, a oczy *babuszki* otwierały się coraz szerzej z każdym zmyślonym przez Magdalенę słowem. – *Ljeki... kak... kak boooli brzuch.* – Kobieta poddała się i kazała nam iść dalej. Chyba uznała, że z takim ogarnięciem nie jesteśmy w stanie dokonać żadnej przemytniczej zbrodni.



Byłyśmy w Rosji. Zatrzymało się pierwsze auto, jadące do Moskwy. Jedna podwózka i od razu sześćset kilometrów! Słyszałyśmy, że tak wygląda autostop w Rosji, ale i tak byłyśmy zaskoczone. Minęła nas pierwsza marszrutka, która wydusiła ze mnie łzę wzruszenia. Odwróciłam się i zobaczyłam, że Magda wilgotnymi oczyma wpatruje się w lasy za oknem. Nasz wzrok się spotkał i porozumiewawczo do siebie kiwnęłyśmy. Cholera, to się serio udało.

“
Drogi pamiętniczku, jesteśmy w Rosji.
Marzenia się spełniają. Jedziemy do Moskwy, a
potem dalej, nie wiem gdzie.”

Planowałyśmy ominąć stolicę. Czas, jaki miałyśmy, wołałyśmy przeznaczyć na odległą i dziką Syberię, a nie na miasto, do którego zawsze możemy wrócić. O słuszności tego planu przekonała nas cena butelki wody na stacji benzynowej blisko obwodnicy Moskwy. Kosztowała czterdzieści złotych, a nasz budżet na miesiąc wynosił czterysta, może pięćset złotych na osobę. Więcej nie miałyśmy i nie posiadałyśmy kart kredytowych.



Na tej stacji doszło do wyjątkowego spotkania. Wyszłam z toalety i zobaczyłam, że Magda rozmawia z jakąś kobietą o haczykowatym nosie. Miała na głowie kapelusz, a wokół szyi owiniętą cienutką, prześwitującą apaszkę. Jej oczy były duże, podkrążone, zmęczone. Podeszłam, by się przywitać.

– Nazywam się Ludmiła Pietruszewska – powiedziała nieco okaleczonym polskim, który jednak był zdecydowanie lepszy niż nasz rosyjski. – Mieszkałam kiedyś w Polsce. Agnieszka Osiecka, panie znają? – Czy znamy? Oczywiście, że znamy, a nawet kochamy. – To była moja przyjaciółka. Tłumaczyłam jej teksty na rosyjski, współpracowałyśmy.

Byłyśmy w szoku. Nie znałyśmy wcześniej jej nazwiska, ale wiedziałyśmy, że warto to nadrobić. Ludmiła opowiedziała nam o czasach cenzury, kiedy za swoją działalność twórczą była więziona, szykanowana, bita. Przez pewien czas nie mogła przebywać w ojczyźnie. Ze względu na narzucone ograniczenia tworzyła wtedy tylko komedie. Agnieszka Osiecka napisała songi do jej tekstu *Do dna*. Pietruszewska to była silna kobieta i o takich kobietach miała w zwyczaju pisać. Stała przed nami kobieta historia. Jej opowieści o Rosji nie kończyły się. Ucieszyła się, że po długim czasie może mówić po polsku. Byłyśmy zaskoczone, że to ona poprosiła nas o zdjęcie. Była zachwycona tym, że spotkała dwie Polki. Mówiła, że kocha Polskę bardziej niż Rosję, bo to w naszym kraju odnalazła spokój i bezpieczne schronienie. Prosto ze stacji ze swoim szoferem pojechała na spektakl inspirowany jej sztuką. Tymczasem my wsiadłyśmy do ciężarówki, nie spodziewając się, że czeka nas kilkanaście godzin nieustannej jazdy.





Problem z autostopem w Rosji polegał na tym, że nie pozwalano nam tam tego stopa łapać. Każdy kierowca brał sobie za punkt honoru znalezienie dla nas kolejnej podwózki i wypytywał przez CB-radio, czy ktoś nie zmierza w stronę Władywostoku. Chętnych na podrzucenie dwóch dziewcząt nie brakowało, ale nam brakowało już sił. Był środek nocy, a nas przerzucano z kabiny do kabiny. Gdy wysiadałyśmy z jednej ciężarówki, obok czekała kolejna. Nikt sobie nic nie robił z naszych błagań, żeby przestać, a przecież jedyne, o czym marzyłyśmy, to rozstawienie namiotu i przespanie kilku godzin.



Grubo po północy udało nam się przerwać ten wykańczający łańcuszek i uciec do pobliskiego lasu. Bez zbędnych ceregieli w ubraniach położyliśmy się w namiocie. To był dobry, lecz krótki sen. Rano zbudziło nas szczekanie i powarkiwanie psów. Okazało się, że w sennym amoku rozstawiliśmy namiot w bardzo zaśmieconym lesie, który widocznie przyciągał bezdomne *sabaczki*. Zwierzęta krążyły wokół nas i wyjadały z plastikowych opakowań resztki jedzenia. Zostałyśmy uwięzione w namiocie i czekałyśmy, aż wreszcie opuszczą las, a my będziemy mogły bezpiecznie wyjść.

Pierwszy raz znalazłam się w tak brudnym kraju. Kierowcy wyrzucali przez okno wszystko – zaczynając od petów papierosowych, a kończąc na plastikowych butelkach i szklanych słoikach. Wszystko trafiało na pobocza i do przydrożnych lasów. Serce pękało mi za każdym razem, kiedy opadały szyby aut i worki śmieci oddalały się od pędzących pojazdów. Podobno gdy nie widać problemu, to on nie istnieje. Ale my to widziałyśmy – wschód słońca obnażył cały ten bałagan. Jeden na drugim leżały opakowania po jogurtach, butelki, a nawet stare obuwie i meble. Las był wysypiskiem śmieci.

Saszka miał kabinę udekorowaną złotymi zasłonkami z czerwonym frędzlami. W centralnej części przedniej szyby wisiał ozdobny trójkącik z tego samego zestawu, na którym widniała pręząca swe ciało młoda dziewczyna. Była ubrana tylko w skąpy strój kąpielowy, oczywiście czerwony. We wnętrzu nie zabrakło kilku rosyjskich flag, wzorzystego dywanu i puchatego koca w panterkę rozłożonego na kanapie. Gdy jechałam do Rosji, myślałam, że zerwę ze stereotypami, ale niestety każdy kolejny dzień pokazywał mi, ile



w internetowych obrazkach jest prawdy. Sam kierowca był wyjątkowy. Miał spore braki w uzębieniu, kilka mocno zatartych, nierównych tatuaży, srebrny łańcuch na szyi, złamany nos i dres z trzema paskami.



Saszka był kochany. Najpierw trochę onieśmielony naszym pochodzeniem i początkowym milczeniem. Po zaledwie trzech dniach w Rosji nasze mózgi wciąż nie mogły dostosować się do rosyjskiej mowy i szukały angielskich słówek. Języki rozwiązał oczywiście alkohol, a jego podczas tej podróży niestety nie brakowało.

Saszka zatrzymał się na *stajance* i bardzo stanowczo argumentował, że nie możemy spać w namiocie na zewnątrz. „*Tam borsuki taaaakie balszaje! Wam nie straszna?*” – powtarzał kilkakrotnie, pokazując, skąd wychodzą i jak ogromne są zęby tych potworów. O dziwo nikt w Rosji nie ostrzegał nas przed niedźwiedziami, jak robili to nie-Rosjanie. Za to borsuki były na pierwszym miejscu i każdy, nawet najbardziej rosy i ubrany w najlepszy dres Rosjanin, drżał na samą myśl o niebezpiecznym stworze. Żeby oszczędzić Saszcze lęków, zapytałyśmy na *stajance* o nocleg, jednak nie było już wolnych miejsc.

Saszka zaproponował, byśmy tę noc spędziły w jego kabinie. Nie protestowałyśmy szczególnie, bo nocowałyśmy tak wielokrotnie w różnych państwach. Kabinę ciężarówek zazwyczaj mają dwie kanapy, więc kierowcy chętnie zapraszali nas na noc do środka. Zapewne brzmi to dwuznacznie, ale osobiście uwielbiam kierowców i boli mnie ich słaba reputacja na świecie. To często ludzie samotni, spędzający tygodnie z dala od rodziny. Wykonują stresującą pracę, w której grają na czas, by zdążyć na załadunek, rozładunek, przed końcem tacho, by znaleźć miejsce na nocleg. Oczywiście, że są wśród nich ludzie wulgarni, brudni, jeżdżący brawurowo, ale – spójrzmy prawdzie w oczy – wśród kierowców osobówek, biznesmenów, sprzątaczek, nauczycieli i prawników też takich nie



brakuje. Tutaj złą sławę budują gabaryty auta. Jednak nie mam pojęcia, dlaczego autostop ciężarówkowy wywołuje większe emocje niż ten osobowy. Przecież to ciężarówka nie może zmienić trasy, nie zjedzie do lasu, nie ukryje się. Ale wróćmy do Saszki. Mężczyzna zaprowadził nas do *stajanki*, gdzie zapytał o prysznic. Zapłacił za niego i już tu pojawiły się głosy sprzeciwu. Bezskuteczne.

Prysznic był dość osobliwy. Wykładany tapetą, z drewnianym parkietem. Wewnątrz pomieszczenia znajdowało się ozdobne lustro w stylu rokokowym i zielone plastikowe krzesło. Do ściany przyklejono odświeżacz powietrza w kształcie dwóch odpoczywających na chmurce misiaków. Prysznic był raczej szybki, bo chcieliśmy ubiec naszego gospodarza. Udało się, pod jego nieobecność kupiliśmy butelkę wódki i poprosiliśmy o trzy literatki. Usiadliśmy przy stoliku i czekałyśmy na pierwszy rosyjski toast. To też nie zabrzmiało najlepiej, ale jednym z naszych rosyjskich celów było napicie się z Saszą, Wanią i Miską.

Stajanka, a bardziej karczma, była całkowicie drewniana. Sufit, podłogi i ściany zbudowano ze zbyt mocno zaolejowanego drewna. Podobnie stoły, na których nożem swoje imiona wyrzeźbiły tłumy ludzi. Za barem stały przede wszystkim butelki wódki. Przy sąsiednich stolikach siedzieli mężczyźni z obnażonymi pęknięciami pleców. Szczerbaci, lekko pijani. W tych okolicznościach czułyśmy się niespodziewanie bezpiecznie i swojo. Sasza mył się strasznie długo, ale w końcu wyszedł. Wódka zdążyła się zagrzać, ale on był pachnący, wyperfumowany i ogolony. Mina mu zrzedła dopiero, gdy zobaczył nas z alkoholem. Chwycił butelkę i kręcąc głową, zaprowadził nas do kabiny. Nie rozumialiśmy, z czego wynika to zamieszanie i dlaczego tak poirytowało go kupienie przez nas



butelki. Tuptałyśmy za nim, próbując dotrzymać mu kroku. Weszliśmy do kabiny i Sasza zza fotela wyciągnął koniak Astana.

– *Dzieweczki. Eto dlja was haroszyi konjak iz Kazachstana. Dawajcie, dziewczonki, pajdzim buchać!*

Usiadłyśmy, a on co sił w nogach pognął do *stajanki* z naszą butelką nie najtańszej, ale też nie najdroższej wódki. Poruszał się śmiesznie. Był chudy i zgarbiony – prawdopodobnie wpłynęła na to jego siedząca praca. Gdy szedł, jego głowa była znacznie bardziej wysunięta do przodu niż tułów. Wrócił, ściskając w dłoni sto pięćdziesiąt rubli, które nam podał.

– *Wy eta moi gosti, a eta Rasija.*

Sasza bardzo zaangażował się w godne ugoszczenie dwóch *dziewczonek* z Polski. Na dywanie między fotelami rozłożył warkocz wędzonego sera, kilka kostek topionego, swojską kielbasę oraz *salat, pomidory i ogórcy*, którą zrobił, jak mu powiedziałam, że nie jem mięsa. Ponownie zamiast kieliszków dostałyśmy literatki, na których markerem oznaczyłyśmy pojemność standardowego polskiego szkła. I zaczęliśmy pić. Sasza to był mocny zawodnik, Kazach wychowany przy rosyjskiej granicy. Pił z najzwyczajszej szklanki i wcale nie oznaczał na niej pojemności kieliszka czy chociaż literatki. Był w stanie wypić dwieście pięćdziesiąt mililitrów od przyłożenia, co wywoływało u nas odruch wymiotny.

– *Dziewczonki* – tłumaczył, widząc naszą dezorientację. – Mój dziadek pracę zaczynał od wypicia wódki. Wcześniej na traktor nie wsiadał. Wiecie, ile by trwało, gdyby miał butelkę opróżnić, pijąc z takich małych *rjumek*? A tak raz dwa i do pracy!



Raz dwa opróżniliśmy butelkę Astany, wyjątkowo obrzydliwego ziołowego koniaku. Sasza przekazał nam bardzo istotną wiedzę, by wódkę zagryzać, a nie zapijać.

– Wy, Polaki duraki! – krzyczał, gdy opowiadał, jak tłusty ser chroni przed kacem. Ratowało nas to w kolejnych tygodniach w Rosji.

Kabina Saszki była niewielka, miał tylko jedno łóżko, które nam odstąpił. Sam spał na siedząco za kierownicą. Następnego dnia obudziliśmy się, gdy byliśmy już w dalszej drodze na wschód. Saszka na nasz widok uśmiechnął się i podał nam telefony z ładowarkami, które przed wyruszeniem w trasę odebrał ze *stajanki*. Wujek Saszka, nasz pierwszy opiekun ze wschodu.

“

Saszka jest śmieszny i kochany.
Powiedział na przykład, że sól to czarna śmierć,
i nawet nie wyczuł błędu. Potem jak piliśmy,
to zagryzł, a po pięciu minutach się zorientował,
że zapomniał wypić. Oj, Sasza...

”



Kolejny dzień spędziliśmy razem. Od Saszy biło ciepło i wzbudzał w nas ogromne pokłady sympatii. Podejrzewam, że gdybym spotkała go w Polsce, w ciasnej uliczce po zmroku, zadrżałyby mi kolana. Ale tutaj, widząc, ile jest w nim dobra, miałam ochotę przyjaźnie poczochnąć resztkę jego włosów. Tego dnia przekroczyliśmy granicę kontynentów i minęliśmy Ural. Europę i Azję dzieli drewniana brama, którą wtedy jakimś cudem przeoczyliśmy. Na poprawę humoru nasz kierowca zatrzymał się przy stojącej w taktycznym miejscu jadłodajni. Cała Syberia, od Uralu aż po Władywostok, wygląda podobnie – długa wstęga drogi otoczona lasami. Co pięćset kilometrów większe miasto, a co sto kilometrów *stajanka*. Ciężko tam o atrakcje turystyczne, więc mieszkańcy tworzą je sami. Na przykład zamykają niedźwiedzie w klatkach lub wystawiają wypchane zwierzęta na poboczu. Akurat tamta knajpa stała przy historycznym czołgu, co działało – wiele mijających Ural osób decydowało się zatrzymać właśnie tam. Dla nas to nie była zaskakująca ani porywająca rozrywka, lecz Sasza nalegał, byśmy weszły na czołg. Drżącymi z braku alkoholu dłońmi chwycił aparat i zrobił nam kilkanaście zdjęć. Każde kolejne było bardziej rozmazane i na każdym kolejnym miałyśmy szersze uśmiechy.

Gdy zeszliśmy z czołgu, ktoś wcisnął nam w ręce wypchanego rysia. Sasza wykorzystał okazję, położył martwe zwierzę w wysokiej trawie, a nam kazał przy nim kucnąć. Nastąpiła kolejna seria szybkich fotografii. Nasz kierowca był dumny z zapewnionej nam rozrywki.

Po wszystkim weszliśmy do baru. O każdym rosyjskim barze mogłabym mówić godzinami. W tym konkretnym stoły były



wyłożone śliską ceratą w święte mikołaje. Na barze ustawiono różne smaki soków „dobryj napój”. Krzątały się tam kobiety w kwiecistych czepkach i opinających ciało fartuchach. Na ścianach były rozwieszone obrazy – od martwej natury z czerwonymi różami w roli głównej aż po pejzaże z rozpędzonym stadem koni. Moim faworytem był jednak Jezus w 3D, który unosił i opuszczał dłoń w zależności od kąta patrzenia. Stały tam trzy stoły z ławami, na których siedzieli mężczyźni z tak samo nonszalancko opuszczonymi spodniami jak ci z poprzedniej *stajanki*. W rogu był kolejny stół, a na nim przeróżne mięsne dania – panierowane kotlety, bitki i udu kurczaka. Na tym samym stole stał telewizor, w którym jak na ironię emitowano film o Hitlerze.

Kelnerko-kucharko-barmanka prawie zabiła mnie wzrokiem, gdy Sasza wspomniał, że nie jem mięsa. Próbowałam ją udobruchać, cichutko szepcząc trzy słowa: *kartoszki, chleb i salat*, ale widocznie nie uznawała dań bezmięsnych za posiłek. Nagą dłonią chwytała różne rodzaje mięs i pytała, czy to akurat mogę jeść. Jakby świniak nie zaliczał się do mięs tak samo jak kurczak. Wreszcie dostałam purée z masłem, chleb i szklankę słodkiej herbaty. Wegetarianizm w Rosji nie należał do najprostszych, podobnie jak trzymanie linii. Magda mogła najeść się tłustymi golonkami, kotletami schabowymi i zupą szczy. Ja spędziłam miesiąc, jedząc chleb z sosem chilli, ziemniaki, marchew i sporadycznie jajka, o ile udało mi się dogadać ze sprzedawcą. Rosjanie mają także problem z określeniem, co zalicza się do mięsa, a co nie. Wprawdzie w Polsce też wielokrotnie słyszałam pytanie, czy jem pasztet i rosółek, jakby te dwa dania nie powstały z mięsa, jednak w Rosji to weszło na inny poziom. Często



kłamałam, że mam uczulenie na mięso, żeby oszczędzić sobie i im tłumaczyć, czym jest wegetarianizm.

- U nas jest zupa.
- Ale pewnie na mięsie?
- Nie na mięsie, na kielbasie.
- Kielbasa to mięso.

Ostatnie zdanie wyprowadzało z równowagi te absolutnie niefiligranowe panie, które tłumaczyły mi, że kielbasa to kielbasa, a mięso to mięso. Najpierw myślałam, że to tylko pojedyncze przypadki, lecz okazało się, że to powszechne twierdzenie. Tak że kielbasa to kielbasa. Musiałam zostać przy ziemniakach.

Do posiłku często dodawano kieliszek wódki, na rozgrzanie żołądka. Nie robiło większej różnicy, czy przyszliśmy na śniadanie, obiad czy na kolację. Wódka, słodka herbata i cukierki zawsze stały na stole. Wtedy też tak było, wysokoprocentowy alkohol rozgrzał nam żołądki chwilę przed przyjęciem porcji tłustych ziemniaków z masłem.



Przed nami były kolejne długie kilometry i kolejna noc w kabinie Saszy. Porozumiewaliśmy się już swobodnie i same byłyśmy w szoku, że tak szybko poczułyśmy rosyjską mowę. Rozmawialiśmy o wszystkim, o życiu w Polsce i o sytuacji we Francji. Rosjanie chętnie pytali nas o Holandię, która jawiła im się jako wylęgarnia wszelkich nieprzyzwoitości i kraj, w którym seks uprawia się w miejscu publicznym, geje i lesbijki stanowią większość i nikt nie wierzy w Boga. Pytali, czy u nas jest wojna, skoro wojowniczy Ukraińcy są naszymi sąsiadami. Wydawało się, że mają niewielkie pojęcie o świecie. Nie mogłam ich za to winić czy wyśmiewać. W każdej stacji telewizyjnej przemawiał Putin i pokazywano drastyczne nagrania z Rosjanami ginącymi przy ukraińskiej granicy. Mimo że przypuszczali, iż są oszukiwani, nie mieli pojęcia jak bardzo. Wiele razy próbowałyśmy im pokazać informacje z zagranicznych mediów, ale większość stron internetowych była tam skutecznie blokowana.

Kilkukrotnie pytano nas, czy podczas drugiej wojny światowej Polska stała po stronie Rosji czy Niemiec. Nie przyjmowali do wiadomości, że to właśnie Polska była bita przez obie strony. To nie mieściło im się w głowach.



“

Rosjanie pytają nas o dziwne rzeczy.
Na przykład:

1. Czemu rodzice/mężowie was puścili? (jakbyśmy były sabakami)
2. Macie dzieci?
3. O wojnę.
4. Ile w Polsce kosztują papierosy i wódka? (a jak mówimy ile, to mówią, że raz pobuchać, raz pokurit i już wypłaty nie ma)
5. Jak tam wojna na Ukrainie?
6. W Polsce też takie drogi?
7. Widziałyście niedźwiedzia?
8. W bani wy były?
9. Czy w Polsce homoseksualizm jest legalny?
10. Co to w uszach i czy to boli?
11. Po co do Rosji, skoro tu nic nie ma? (no właśnie po to)
12. Lubicie Putina?”



Sasza nie lubił prezydenta. Jeszcze przed Uralem słyszałam same pochwały na temat rządzącego, ale później nastroje się zmieniły, podobnie jak jakość życia i ceny, a zabudowa stała się skromniejsza. Wkroczyliśmy do biednej Rosji, tej azjatyckiej, i słyszałyśmy historie, od których włos się jeżył na głowie. Kilka lat wcześniej Saszka przejeżdżał przez Ural podczas swojej stałej trasy do Krasnojarska. Ale tego dnia niespodziewanie spadł śnieg. Opady były tak intensywne, że zatrzymał się przy najbliższej *stajance* i... tam został. Podobnie jak wielu innych kierowców utknął w górach bez wody, jedzenia i ogrzewania. Nasłuchiwali w radiu słów Putina, który zapewniał, że na Ural zostały wysłane służby ratunkowe. Ale nikt do nich nie dotarł, zostali tam sami. Przez cztery dni Sasza gościł w swojej maleńkiej kabinie pięcioosobową rodzinę, którą wykarmił swymi zapasami. Na kuchence gazowej topili śnieg i gotowali kaszę. Żadna pomoc nie dotarła. Trudno sobie wyobrazić, jaki los spotkałby tamtą rodzinę, gdyby nie mieli tyle szczęścia i nie spotkali Saszy. Kiedy to opowiadał, oczy miał pełne łez, a wargi mu drżały. Wtedy przyjrzałam się jego spracowanym, żyłastym dłoniom. Jego zmarszczkom, których było zdecydowanie zbyt wiele na ten wiek. Jego zniszczonym zębom i wykrzywionym nadgarstkom. Co chwilę wyginał obolałe plecy, by poczuć odrobinę ulgi.

Przyglądałam się też kobietom sprzedającym ziemniaki na poboczu – owinięte w chusty siedziały naprzeciw swoich drewnianych domków. Próbowałam sobie wyobrazić, jak zimno musi w nich być, gdy temperatury na Syberii spadną do minus czterdziestu stopni. Siedziały na taborecikach w grubych skarpetach i wzorzystych spódnicach za kolano. Wyglądały jak moja babcia –



tak samo niziutkie, okrągłe, pulchne i zarumienione, z długimi siwymi włosami ukrytymi pod chustą. Przyglądałam się dzieciom bawiącym się samotnie przy bagnach albo pracującym i noszącym drewno na opał. W rosyjskiej uprzejmości tkwiło mnóstwo cierpienia, wyrzeczeń i trudów. A może właśnie to sprawiło, że mieszkańcy Syberii są najbardziej gościnnymi i pomocnymi ludźmi, jakich spotkałam. Absurdalny wydaje się fakt, że to przed nimi ostrzegano mnie najczęściej.



Kolejna noc wyglądała podobnie. Dołączył do nas kolega Saszy. Wania, podobnie jak jego przyjaciel, pił wódkę ze szklanki, więc szybko skończył się zapas Astany. Razem z Saszą ruszyliśmy na misję. W ciemnościach pośród bezkresnej Syberii znaleźliśmy budę, coś jakby mały garaż zbudowany z blachy. Sasza poklepał każdą ścianę. Przestał dopiero, gdy z wnętrza zaczęły dochodzić oburzone jęki i ciężkie kroki. Blaszane drzwi otworzył otyły Mongoł.

– Szto?

– *Nam nada konjak.*

Mongoł zniknął we wnętrzu i po chwili wręczył nam dwie butelki alkoholu. Jego wyraz twarzy nie zmienił się ani na sekundę. Wybudzony, oślepiiony latarkami nie był w stanie cieszyć się łatwym zarobkiem. Trzasnął drzwiami i prawdopodobnie padł jak kłoda na swoją kanapę.



Po trzech wspólnych dniach z Saszą nadszedł czas rozstania. Nie obyło się bez prezentów. Magda otrzymała okulary z kryształkiem marki Ballantine's oraz koszulkę z trzema paskami. Dla mnie była czapka z daszkiem z logo BMW i łańcuch na nadgarstek, taki, jaki na szyi nosił Sasza. Do tego jego zdjęcie paszportowe. Żegnaliśmy się ze łzami w oczach. Sasza był naszym dobrym wujkiem, a ja zawsze będę się uśmiechać, widząc jego bandycką twarz w portfelu Magdy.

Autostop w Rosji jest banalnie prosty. Jedna droga prowadzi z Moskwy aż do Władywostoku. Naprawdę trudno się zgubić. Najdłużej łapałyśmy może dwie minuty i każda podwózka oznaczała pokonanie co najmniej pięciusetkilometrowego dystansu. Sasza przed odjazdem pokazał nam, którą z dróg z rozwidlenia mamy się kierować, by ominąć Krasnojarsk i jechać w stronę kolejnego dużego miasta – Nowosybirsk.

Stresowałyśmy się, stojąc w tamtym miejscu, bo chwilę wcześniej widziałyśmy kontrolę policyjną. Wciąż nie podbiłyśmy karty migracyjnej, więc w gruncie rzeczy byłyśmy w Rosji nielegalnie. Tego dnia mijał tydzień naszego pobytu, czyli ostatni termin na zdobycie pieczętki. Nie mogło być inaczej – jak tylko wystawiłyśmy karton z napisem „NOWOSYBIRSK”, powolutku zbliżył się do nas radiowóz. Wiedziałyśmy, że wszystko można załatwić łapówką, ale nie miałyśmy w tej kwestii żadnego doświadczenia, a fakt, że pierwsza w życiu łapówka ma zostać wręczona rosyjskiemu mundurowemu, dodawał sytuacji dramaturgii.

– Magda, szykuj paszporty – powiedziałam i ruszyłam na front z misją załagodzenia sytuacji.



Radiowóz się zatrzymał. W środku był tylko jeden policjant. Powoli opuścił szybę na korbkę. Powiedział coś bardzo szybko, a stres sprawił, że nie zrozumiałam ani słowa.

– *Nie panimaju* – wydukałam, próbując odczytać cokolwiek z jego twarzy.

– *Dziewuszki, eta nie daroga na Nowosibirsk, eta daroga na Krasnajarsk.* – Dłonią wskazał nam drugą część rozwidlenia i odjechał, kręcąc głową.

Kamień spadł nam z serca, dłuższą chwilę nie mogliśmy dojść do siebie i minęło trochę czasu, nim przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Minutę później siedziałyśmy w kolejnej ciężarówce, w drodze do Nowosybirska.

“

Rosjanie są zabawni. Często pytają, czy nam nie straszna nad Bajkał. A my, że nad Bajkał jedziemy dzień rozdania świętować i wódkę pić. A oni na to «Dawaj z nami», bo wódka wszędzie smakuje wyśmienicie. Musimy zmienić taktykę.

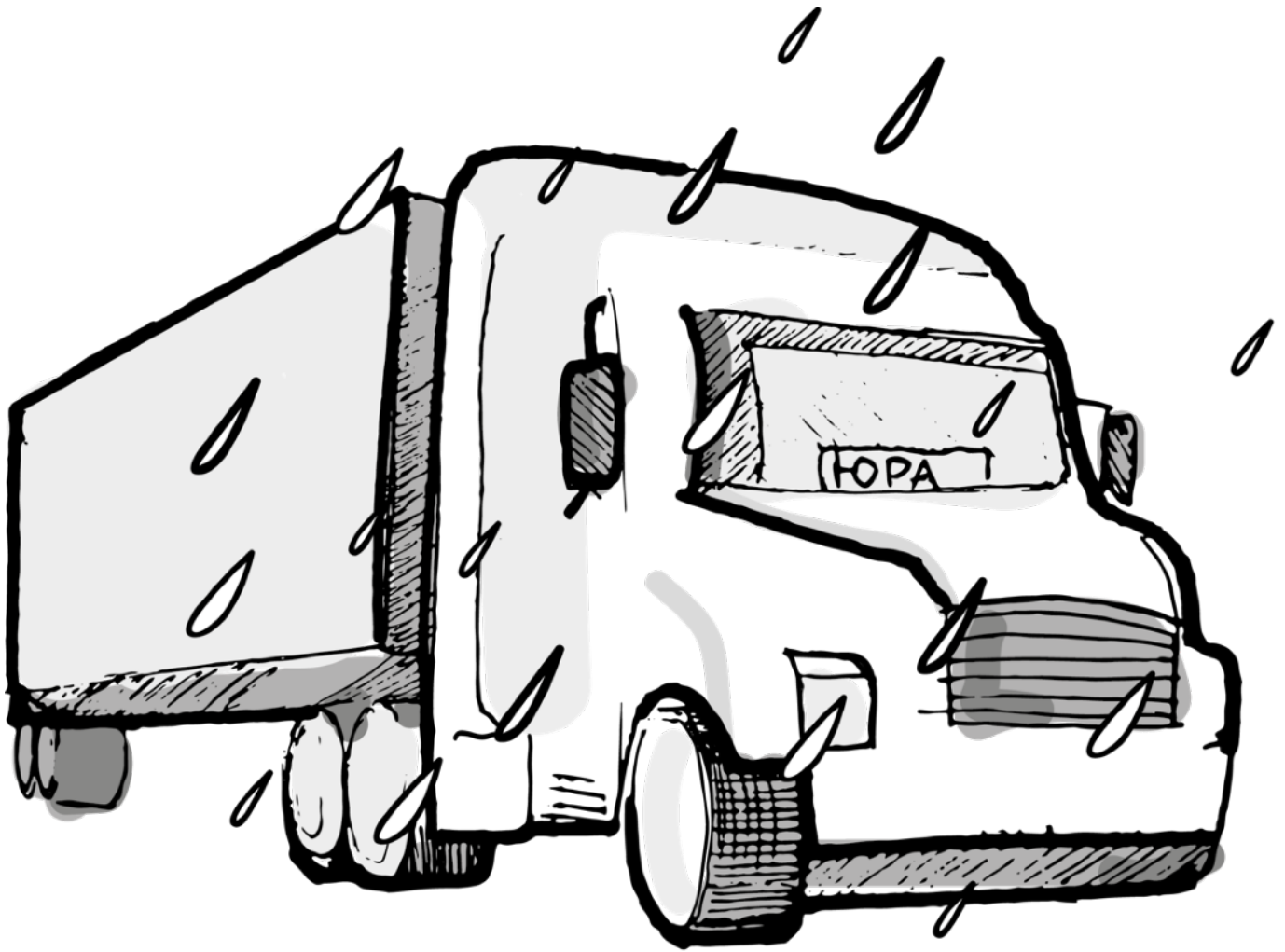
”



Zdanie „*dawajcie, dziewczonki, pajdzim buchać*” towarzyszyło nam od samego początku. Rosjanie chętnie zapraszali nas na wszelkiego rodzaju alkohole i nie przyjmowali odmowy. Po tygodniu w Rosji miałyśmy dość. Doskwierało nam też spanie w kabinach, marzyłyśmy o takim zwyczajnym, niewygodnym spędzeniu nocy w namiocie. Tęskniłyśmy za swobodnym plotkowaniem, bo nasz słowiański język nie gwarantował anonimowości.

Był wieczór, który rozpoczął serię najśmieszniejszych dni w naszym życiu. Od dawna nie miałyśmy takiego humoru, bawiło nas wszystko – nawet to, że po zmroku stoimy na obwodnicy, leje deszcz i mimo fikuśnych kamizelek odbaskowych jesteśmy niewidoczne dla kierowców. Ale to w końcu Rosja i nie trzeba długo czekać na stopa. W końcu zatrzymał się amerykański tir, ten z długim przodem, którego na pewno każdy kojarzy z filmów drogi o buntownikach. A w środku on – Jura ze Złotym Zębem. Wyjątkowo duży i mięsisty jak na Rosjanina. Zaprosił nas do środka, a my ogromnie wdzięczne skorzystałyśmy i przed wejściem ściągnęłyśmy buty, pamiętając o schowanych w skarpetkach pieniądzach. Usiadłam na kanapie, która w amerykańskich kabinach znajduje się tak daleko kierowcy, że nie sposób prowadzić rozmowy. Siedziałam tam w ciszy, wtulając się w ciepły wełniany koc, i usnęłam. Przebudziłam się na chwilę, gdy obok mnie położyła się Magda. „Powiedział, że mam się wyspać, bo opada mi głowa”. I tak jechałyśmy przez bezkresne lasy, bujając się na łóżku w kompletnej ciemności. Jura obudził nas dopiero, gdy byliśmy na *stajance*.





– *Dziewczonki*, tu jest toaleta. Umyjcie się, zjedzcie coś. Ja idę do restauracji, jak wrócę, przygotuję wam łóżko na górze. Jutro jadę dalej do Irkucka. Prześpijcie się.

Przystaliśmy na tę propozycję, bo pogoda nie zachęcała do wyściubiania nosa z ciężarówki. Zostawił nas same na dwie godziny w swojej kabinie. Miał tam wszystko: pieniądze, elektronikę i dokumenty. Jednak ufał nam, a my ufałyśmy jemu. O prysznicu niestety nie było mowy, stał tam tylko wychodek. Murowane ściany i dziura pośrodku. Osobna dla mężczyzn i „żęsin”. O rosyjskich wychodkach mogłaby powstać cała książka. Każde wyjście za



potrzebą mnie stresowało, bo nie wiedziałam, na jakie warunki trafię. Zdarzały się toalety grupowe, w których w jednym rzędzie znajdowało się kilka dziur. Ludzie kucali obok siebie i w zasadzie mogliby trzymać się za ręce. Gdy do nich wchodziłam, w oczach miałam śmierć. Spróchniałe deski odsłaniały głębokie dziury wykopane w ziemi, wypełnione ludzkimi odchodami. Rosyjskie wychodki były naszym małym przekleństwem, przez nie doceniłyśmy nawet woodstockowe toi toie.

Zrobiłyśmy, co mogłyśmy. W ruch poszedł baniak z wodą, chusteczki nawilżane i żel antybakteryjny. Założyłyśmy ostatnie w miarę czyste ubrania i czekałyśmy na powrót Jury. Wrócił najedzony i ucieszony. Wskoczyłyśmy na górne łóżko, Jura położył się u siebie, zgasił światło i trzykrotnie padło „*dobrej noc!*”.

Patrzyłam na Magdę ze łzami radości w oczach. Udało się, trafiłyśmy na kierowcę, który nie chciał z nami pić, raczej nie nalegał na rozmowę, ale cieszył się własnym towarzystwem. To było coś nowego. Patrzyłyśmy na siebie i chichotałyśmy otulone w nasze śpiwory. Zamknęłam oczy i odleciałam.

Nagle zapaliło się światło. Przebudziłyśmy się i zobaczyłyśmy głowę Jury wystającą tuż obok skraju naszego łóżka.

– *Dziewczonki! A buchać to wy buchacie?*

– *Noooo... ciut, ciut* – odpowiedziałam i wiedziałam, że prędko tego pożałuję.

Jura wyciągnął ogromną butelkę rumu. Coś było nie tak z tymi wschodnimi pojemnościami: kiedyś poprosiłyśmy o dwa piwa, dostałyśmy dwie dwulitrowe butelki, Sasza pił wódkę ze szklanki, a teraz „ciut, ciut” okazało się pokaźną butlą z brązowym płynem.



Niezgrabnie zeskoczyłyśmy z łóżka i zaczęłyśmy szukać odpowiedniej „zakuski” – jak uczył nas wujek Saszka. W plecakowej otchłani znalazłyśmy trochę sera, krakersów i herbatników. Jura zbudował mały stolik i po chwili nasza nie domówka, a kabinówka była gotowa do rozpoczęcia. Uderzył spodem butelki o kolano, potem o łokieć, o ramię i na końcu energicznie strzelił płaską dłonią w dno. Otworzył bez zdejmowania banderoli, więc alkohol przelewał się po resztkach papierka. Wypełnił kieliszki, które wyjątkowo były standardowej pojemności, i wznieśliśmy toast:

– *Za znakomstwo* – powiedział Jura i przechylił kielonki. Oczywiście na jednym się nie skończyło. Nim zdążyłyśmy wyrazić sprzeciw, pośpiesznie napełnił kolejny. Jura aż promieniał szczęściem, a jego uśmiech odsłonił jeszcze dwie skryte w głębi ust złote koronki. Wydaje się, że ten wielki mężczyzna o twarzy misia był samotny nie tylko we własnej kabinie, ale i w życiu. Pokazywał zdjęcia córek, lecz nigdy ich matki i zgrabnie omijał ten temat. Jednak o córkach mówił dużo, bo były niemalże w naszym wieku. Nie wiedziałyśmy, jak zareagować na ich selfie w bardzo rosyjskim stylu. To było trudniejsze niż zazwyczaj, ale nauczyłyśmy się w końcu wychwalać urodę córek kierowców. Mam jednak wielką nadzieję, że mój ojciec nigdy nie chwalił się mną w ten sposób.

– *Krasawica. Oczjeń, oczjeń* – tyle mogłyśmy powiedzieć, a Jura był zachwycony i dumny. Napełnił kolejny kieliszek i przechylił go, nim zdążyłyśmy chwycić swoje. Uśmiech nie schodził mu z twarzy, a my nie miałyśmy siły, by przerwać ten alkoholowy maraton.

– *Paslednij stakan* – powiedziałam kilka razy, dając do zrozumienia, że to naprawdę musi być ostatnie podniesione szkło i czas spać. Ale Jura ze Złotym Zębem nie słuchał i nie zamierzał



odpuszczać. Nie miałyśmy wyjścia – rozmawialiśmy i śmialiśmy się. Z każdym wypowiedzianym zdaniem uczyłyśmy się nowych zwrotów po rosyjsku. Było z tego wiele korzyści, ale wołałybyśmy popijać wodę.

Jura padł na swoje łóżko, a my jeszcze mniej zgrabnie niż wcześniej wdrapałyśmy się na górę. Usnęliśmy bardzo późno, butelka została porzucona niemal pusta. Obudził nas dopiero dźwięk silnika – ruszaliśmy w stronę Irkucka.

Jura pożegnał się z nami z żalem, ale też z wdzięcznością za dotrzymanie mu towarzystwa na tym ciężkim do zniesienia świecie. A my łapałyśmy dalej, tym razem trzymając w dłoni słoik domowej konfitury, którą zrobiła mama Jury. Taki prezent był bezcenny, nawet nie miałam odwagi schować go do plecaka. Dumnie dzierżyłam słoik w dłoni i przytulałam do piersi.

– Jeszcze Miszki nie było – rzuciła bez kontekstu Magda. Jej celem było poznanie osób o najbardziej rosyjskich imionach. – I ogórka małosolnego bym zjadła.

Rozmowy przy łapaniu stopa zazwyczaj tak wyglądały. Wyrzucałyśmy z siebie spontaniczne myśli, które czasem prowadziły do kłótni, ale byłyśmy wyjątkowo zgranym duetem. W zasadzie pamiętam tylko jedną kłótnię, która rozpętała się między nami podczas pierwszej podróży i dotyczyła potrzeby fizjologicznej. Krzyczałyśmy na siebie jak opętane, dopóki nie dotarło do nas, jak głupi jest powód sprzeczki. Oczywiście często się nawzajem irytowałyśmy, żadna nie była święta, ale dzielnie znosiłyśmy swoje humorki.



Zatrzymała się ciężarówka, co nie było zaskoczeniem, bo od dnia, w którym przekroczyliśmy granicę, nie jechałyśmy niczym innym. W kabinie leciała bardzo głośna rosyjska muzyka, a kierowca poruszał głową w tym samym rytmie w przód i w tył. Miał na sobie rozciągnięty biały podkoszulek, srebrny łańcuch na szyi i okulary pilotki. Piękny widok. Wsiadłyśmy.

– *Mjenja zawut Miszka* – powiedział. – *Haczycie małosolnyj ogórcyi?*

Magda zrobiła wielkie oczy i otworzyła usta. Wiedziałam, że poczuła w sobie czarodziejską siłę. Mnie to szczególnie nie zaskoczyło, bo moja przyjaciółka ma niezwykle szczęście do otrzymywania tego, o co poprosiła na głos. Kiedyś powiedziała, że marzy jej się przejażdżka czerwonym kabrioletem, i po pięciu minutach obok nas zatrzymało się właśnie takie auto. Gdy wracałyśmy z imprezy, rzuciła, że chciałaby wsiąść do wozu strażackiego, nagle pojawił się taki pojazd i zaproszono nas do środka. Miszka i ogórki małosolne przy tym wysiadały, ale nie powiem, to był miły zbieg okoliczności.

Miszka nie wjeżdżał do Irkucka. Odbijał sto kilometrów przed miastem. To była nasza szansa, by wreszcie spać w namiocie. Bez alkoholu, bez imprezy i bez rozmownych Rosjan. Lubiliśmy te wieczory, ale jednak potrzebowałyśmy przerwy. Misza pożegnał się z nami na stacji, a my poszłyśmy do łazienki, gdzie za kilka złotych mogłyśmy wziąć prysznic. Gdyby można było stać się niewidzialnym, właśnie tam włączyłybyśmy tę funkcję. Chciałyśmy uniknąć jakiegokolwiek kontaktu z ludźmi, bo bałyśmy się, że znów ktoś zaprosi nas do wspólnego stołu biesiadnego. Jednak nie



sądziłyśmy, że tę niewidzialność zapagniemy włączyć, gdy będziemy tylko we dwie.

Prysznice w Rosji są równie specyficzne, jak wychodki. Kierowcy ustawiają się w długiej kolejce i są wpuszczani grupami. Każda z grup ma piętnaście minut na kąpiel. Zazwyczaj wchodzi jednocześnie trzech, a nawet czterech mężczyzn. Pierwszy raz stałyśmy wtedy w takiej kolejce. Byłyśmy tylko we dwie i czekałyśmy, aż poprzednicy wyjdą z pomieszczenia. Porządku pilnowała gruba Rosjanka, która pobrała od nas opłatę. Niecierpliwie zerkiała na zegarek. Minę miała taką, że nie chciałabym być w skórze tych, którzy kiedyś przekroczyli magiczną granicę piętnastu minut. Stałyśmy pod ścianą w ciszy, ta kobieta nas przerażała i nie chciałam jej rozgniewać niepotrzebną rozmową. Sytuacja stała się krytyczna, gdy do pomieszczenia wszedł jeden z kierowców. Śmierdziało od niego wódką i papierosami.

– A co, jeśli wpuszczają po trzy osoby? – zapytałam Magdę, ale nie oczekiwałam odpowiedzi. Ona też nie pisnęła słowa i z obrzydzeniem przyglądała się owłosionym ramionom mężczyzny. Miał nieprzyjemny odruch charkania i głośnego przełykania śliny. Uśmiechnął się do nas, pokazując braki w uzębieniu, łatwiej byłoby zliczyć zęby niż przerwy. Wreszcie drzwi się uchyliły i wyszła jedna osoba, za nią kolejna i... na tym koniec. Kamień spadł nam z serca i we dwie weszłyśmy do środka. Tam po raz pierwszy musiałyśmy zmierzyć się ze wstydem związanym z własną nagością.

Po prysznicu poszłyśmy na stację benzynową. Była wyjątkowo nowoczesna i europejska. Zupełnie inna niż te, które znałyśmy z Rosji. Znajdowała się tam restauracja z bufetem, równymi



stolikami i błyszczącym barem. Toalety oczywiście nie było, ale już przywykłyśmy, że nawet przy hotelach stoją wychodki. Zamówiłyśmy napój, podłączyłyśmy telefony oraz aparat do prądu i czekałyśmy przy najmniej rzucającym się w oczy stoliku, aż wyschną nam włosy. Na każdego patrzyłyśmy z byka, wzrokiem podejrzliwego człowieka. Po raz pierwszy starałyśmy się wyglądać nieciekawie i sprawiać wrażenie osób niechętnych wobec innych, zamkniętych i niezbyt wesołych. Nosy miałyśmy spuszczone na kwintę, a usta wykrzywione w grymasie. To był ogromny wysiłek! Niełatwo się nie uśmiechać, gdy jest się blisko celu, gdy wszystko idzie po naszej myśli, kiedy spełnia się swoje marzenie! Ale udało się – nikt nie podszedł. Po cichutku wymknęłyśmy się ze stacji i zrobiłyśmy to, czego od dawna nie musiałyśmy robić – poszukałyśmy miejsca na namiot.

Najpierw zawędrowałyśmy za prysznicę, ale trawa wokół był bardzo wysoka i zwiastowała chłodną, mokrą noc. Postanowiłyśmy poszukać czegoś lepszego. Na chwilę przysiadłyśmy przed wejściem do łazienek, żeby narzucić na siebie więcej ubrań, bo komary znowu zaczynały dokuczać. O, to bym wymieniła jako wadę Syberii. Komary i malutkie muszki, które kąsają i wchodzą pod skórę. Uprzykrzały nam życie. Z tyłu pamiętnika zrobiłyśmy nawet tabelkę, w której zaznaczałyśmy liczbę ukąszeń.

Gdy grzebałam w plecaku, dostrzegłam zdezelowany samochód. To była jakaś nowsza wersja Łady, ale okropnie zniszczona. Nie miała dwóch błotników, zderzaka i jednego lusterka. Auto pokrywała rdza, a tablica rejestracyjna była krzywo przymocowana. Zajrzałam do środka i rzuciłam pomysł. Zrobiłam to tak, by



zabrzmiał jak żart, ale tak naprawdę liczyłam, że Magda podłapie tę ideę:

– A gdybyśmy spały w nim? Wygląda na opuszczony.

Magda już się podnosiła, żeby obejrzeć auto w środku, lecz drogę zablokował jej barczysty Rosjanin.

– *Kto ti?* – zapytał. Nie wiem, skąd to się bierze, ale Rosjanie mają zabawną tendencję do zadawania tak krótkich pytań. *Kto ti? Szto wy? Kak wy? Atkuda wy?* W połączeniu z posturą wielu z nich brzmi to komicznie.

– *Putieszestwiennik!*² – odpowiedziałam jak wyćwiczony, doświadczony żołnierz.

– *Atkuda wy?* – zapytał mężczyzna, odrzucając głowę do tyłu.

– *My iz Polszy!* – Wiedziałam, że trzeba czym prędzej zakończyć rozmowę, bo robiło się niebezpiecznie.

Zazwyczaj piątym pytaniem zadany przez Rosjanina była „*buchać buchacie?*”, dlatego pospiesznie spakowałam plecak i już wkładałam go na plecy, gdy usłyszałam:

– *Kuda wy?* – No brakowało tylko pytania, dokąd idziemy. Trochę nie przemyślałam odpowiedzi, bo wyznałam prawdę. Czyli sprzedałam mu supertajną informację, której raczej nikomu nie zdradzamy. Powiedziałam, że idziemy rozbić namiot i spać. I ruszyliśmy z kopyta. Plecaki podskakiwały na naszych plecach przy intensywnym marszu, bo w pośpiechu nie zapięliśmy wszystkich pasów. Rosjanin coś krzyczał, ale się nie odwracaliśmy. Niewiele dzieliło nas od ponownego picia wódki, czułyśmy to w kościach. Maszerowałyśmy nieoświetlonym poboczem przy

² *Putieszestwiennik* – ros. podróżnik.



głównej trasie prowadzącej do Irkucka. Trawa wokół była tak samo wysoka, a teren podmokły. Na horyzoncie widziałśmy ciemny pas lasu. Pomyślałyśmy, że w lesie łatwo o niewielką polankę na mały namiot.

Nasze cienie były coraz wyraźniejsze, aż wreszcie sprawca tego efektu zatrzymał samochód centralnie za nami. Nie wierzyłam własnym oczom. Auto, które się zatrzymało, było dokładnie tym, do którego chciałam się włamać, by spędzić tam noc. Najwyraźniej nie było ani opuszczone, ani niczyje. Właścicielem i kierowcą był nasz nowo poznany kolega ze stacji. Towarzyszył mu Iger, Buriat – chłopak o mongolskich korzeniach. Jego uroda była w dużej mierze rosyjska, ale twarz miał okrągłą jak księżyc, a oczy małe, skośne i ciemne.

– *Kuda wy?* – zapytał raz jeszcze. – Taka trawa jest aż do Irkucka! Wykosiliśmy wam trawnik przy stacji, pod kamerami. *Dawajcie, dziewczonki, nazad!*

Jakkolwiek irracjonalne to się może wydać, zważając na fakt, że był środek nocy, znajdowałyśmy się na Syberii i dwóch mężczyzn w zdezelowanym aucie zapraszało nas do środka, ta propozycja zdawała się bardzo rozsądna. Wsiadłyśmy do samochodu i wróciłyśmy na *stajankę*.

Faktycznie, podczas naszej nieobecności wykosili spory placyk centralnie pod kamerą. Obok leżały jeszcze narzędzia – kosiarka i ręczna kosa. Zaparkowali przed przygotowanym miejscem i ponownie włączyli reflektory. Przy takim oświetleniu bez problemu rozstawiłyśmy namiot, po czym wrzuciłyśmy do środka nasze plecaki i śpiwory. Jednak kultura nakazywała nam podziękować



chłopakom za pomoc. Podeszliśmy do auta, zapukaliśmy w szybę i rzuciliśmy:

– *Spasiba, spasiba balszoi.*

Tymczasem oni byli skorzy do rozmowy. Nim się obejrzałyśmy, zaczęło padać i musiałyśmy skryć się w ich samochodzie. Opowiadałyśmy im o swojej podróży, o bajkalskim celu i o Polsce. Bardzo chciałyśmy iść spać, ale czułyśmy się wobec nich zobowiązane. Poza tym ich towarzystwo było naprawdę miłe.

– *Dziewczonki!* – Ups, to był ten moment. – *A samogon wyznacie?*

– *Niet* – odpowiedziałyśmy chórem.

– *Anormalnyj* – powiedział Iger, a minę miał taką, jakby zobaczył ducha własnej prababki.

Po chwili mężczyźni mieli gotowy plan działania. Opowiedzieli nam o *babuszcze*, która mieszka niedaleko, kilka kilometrów od głównej drogi. Stwierdziłyśmy, że samogon to coś, czego należy spróbować. A co, jeśli to była jedyna okazja? Łada odpaliła silnik z nieskrywanym trudem i ruszyliśmy. Niespodziewanie zjechaliśmy z głównej drogi i pędziliśmy przez pustkowia, ledwo widoczną trasą. Nie miałam pojęcia, jakim cudem orientują się, gdzie jesteśmy. Byłam tym bardziej zdziwiona, że na tej dziwnej drodze mijaliśmy inne auta i spacerujących ludzi. A najbardziej niezwykle było to, że stara łada kryła w sobie możliwości wręcz off-roadowe. Nareszcie dojrzeliliśmy małą chatkę z ogromną bramą i potężnym ogrodzeniem. Pomyślałam, że jeśli tak strzegą tego samogonu, to musimy go spróbować. Iger wziął butelkę po Ice Tea i zapukał do bramy. Gdy czekał, ze zniecierpliwienia przestępował z nogi na



nogę. Brama uchyliła się i w szparze pojawiła się ręka czekająca na butelkę. Iger podał pojemnik wraz ze zwiniętym w rulon banknotem. Chwilę później ręka znów się pokazała, tym razem z wypełnioną butelką. W środku kołysała się niewielka ilość samogonu. Ta objętość cieszyła nas bardziej niż cokolwiek innego. Starczało na dwa małe łyki dla każdego.

Wróciliśmy na stację, zakupiliśmy zakuskę i zabraliśmy się za tę wyjątkową konsumpcję rosyjskiego klasyka.

– Magdalenka! *Dzierżyj samogon!*

Magdalenka nie tylko dzierżyła, ale odkręciła, przechyliła butelkę i wlała „*damaszy*” alkohol do ust. Skrzywiła się jakby z bólu, szybko chwyciła sałatkę i zjadła połowę opakowania, żeby zabić smak oraz zapach trunku. Na mnie zadziało podobnie. Samogon nie był smakołykiem, lecz naszym cierpieniem i przekleństwem. Iger i jego barczysty kolega pili go rosyjskim sposobem „na zapach bobra”. Wąchali swoje rękawy, łykali i znowu wąchali. Bez popijania i zagryzania. Zastanawiałam się, czy wychowanie w Rosji nie wypaliło im kubków smakowych. Spróbowałam zapachu bobra tylko raz, ale z whiskey. Z samogonem nie było o tym mowy.

Na szczęście specyfik skończył się dość szybko i mogliśmy się w spokoju wyspać. Kolejny dzień miał być tym wielkim, kiedy dotarliśmy nad najgłębsze jezioro świata. Bajkał.





Łapałyśmy stopa na trasie prowadzącej na wyspę Chużyr. Podszedł do nas jakiś facet. Był dość, hm, nietypowy. Wychudzony i zgarbiony. Miał na sobie białą koszulę z długim rękawem, uszytą z jakiegoś sztucznego, śliskiego i lśniącego materiału. Spodnie też miał niby eleganckie, czarne. Na stopach klapki, a na głowie czapkę z daszkiem. Jego oczy były zapadnięte, ale najbardziej zapamiętałam to, że miał tylko dwa zęby – górne kły. Stał obok nas i nie odezwał się słowem. Sterczał tak i z otwartą buzią





Dziękujemy za przeczytanie darmowego fragmentu książki. Mamy nadzieję, że przyjemnie Ci się czytało. :)

Pełną wersję książki, w której znajduje się aż 606 stron podróżniczych przygód, możesz zakupić klikając w poniższy przycisk.

Do zobaczenia na elektronicznych kartach książki Dodo!

PEŁNA WERSJA

